*Barbara Kosmowska, Panna Foch plus minus 16 (5)*

Prysz… – to znaczy Janek – wrócił.

W poniedziałek, gdy obudziły mnie pogróżki nadciągającej burzy, on już kopał grzędy w nowym foliowym namiocie. Błyskało, a on dalej uparcie wbijał łopatę w ziemię. Jakby mu ta podniebna jarzeniówka wcale nie przeszkadzała.

Co za brak rozsądku! – pomyślałam.

Z pierwszym uderzeniem pioruna do pokoju wpadły uszczęśliwione bliźniaki.

– Bobiku! – krzyczały od progu. – Zimne ognie przyszły! Farejwerki! Bozia grzmoci! Idą grzmoty w stare galoty!

Na chwilę zapomniałam, że boję się burzy. Znacznie groźniej brzmiały znoszone z podwórek mądrości i przysłowia.

– Jak pioruny trzaskają, to cycki opadają! – zawołał Groszek, zanim klapnął na moje łóżko.

– Niebo na łąki puszcza bąki! Bo niebo pierdzi, a potem śmierdzi! – próbowała go zakrzyczeć siostra.

Za bliźniakami do sypialni wślizgnęła się mama, żywo gestykulując. Rozpaczliwymi znakami dawała mi do zrozumienia: „Udawaj, że tego nie słyszysz!”. Najwyraźniej rozbolały ją ręce, bo w końcu też opadła na łóżko.

– Spokój! – warknęłam do bliźniaków. – Siedzicie jak dziad i baba w ciepłym domku, a wasz ukochany Janek musi pracować. Kiepscy z was przyjaciele!

„Przyjaciele” spojrzeli na siebie i bez słowa, za to z piskiem tenisówek, ruszyli na dwór.

Mama miała w oczach podwójną wdzięczność.

– Jak miło, że o nim pomyślałaś – powiedziała. – I że oszczędziłaś nam dalszego ciągu tych wynalazków językowych. Zbieraj się! Zrobimy wielkie śniadanie.

Chichotałam, widząc, jak Janek biegnie przez środek żywiołu z bliźniakami pod pachą. Z trudem lawirował między kałużami i cudem nie wpadł w tę najgłębszą, przed wejściem na ganek.

– Przepraszam – stropił się na mój widok – ale zostałem zmuszony…

– Mamy w tym swój udział! – uspokoiła go mama i wzięła się do zdejmowania z gościa wierzgających potworów, recytujących: „Bu-rza nas wku-rza!”.

– Dobrze, że jesteś – mruknęłam, podając mu ręcznik. – Inaczej znowu jadłabym owsiankę.

W kuchni pachniało jajecznicą. Bliźniaki oblegały Janka, który w takich warunkach mógł tylko marzyć o spokojnym posiłku.

– Chcesz mięsko?

– My umiemy rzucać mięskiem!

– Tatuś mówił mamie, że rzucamy!

Janek uśmiechnął się po raz pierwszy.

– Rzucają mięskiem, co? – spytał mnie szeptem znad talerza.

– Nooo, jest z tym mały kłopot – westchnęłam, odwzajemniając uśmiech. – Nie wiadomo, skąd przynoszą te swoje świntuszenia.

– Moje były z podwórka – powiedział Janek.

– Moje z przedszkola! – wyznałam.

A potem rozmowa potoczyła się z taką łatwością, jakbyśmy znali się od zawsze. Od pierwszej wiśni posadzonej w Wiśniowej Górze. I kiedy już nawet byłam skłonna spędzić z nim więcej czasu, specjalnie dla niego włączyć, mimo szalejącej burzy, najnowszy singiel Jasona, Janek wstał, podziękował i znikł szybciej, niż się pojawił. Po chwili, mimo pomruków nawałnicy, znowu kopał grzędy.

Przykro to było zanotować w dzienniku:

*Kopał potem z taką samą, jeśli nie większą przyjemnością, choć dopiero co rozmawiał ze mną! Dlatego uważam, że ten cały Janek nie jest dżentelmenem. Wydaje mi się zresztą, że dżentelmeni to raczej ludzie starzy. Ale nie jestem pewna…*

Następny dzień musiał się zacząć od awantury. Inaczej przecież bez końca trwałaby nad naszym domem nieprzenikniona noc. Wcześnie rano, gdy jeszcze spaliśmy, bliźniaki ruszyły dziarsko do swoich obowiązków i zalały państwu Ptasikom ich ukochany ogródek. Jak sobie poradziły z ciężkim gumowym wężem, pozostanie na zawsze tajemnicą. Jedno jest pewne. Lilie i rododendrony, duma pani Loni Ptasikowej, a także przydomowy warzywnik, w którym pan Antoni Ptasik spędza całe dnie, tonęły w kałużach. Były w stanie, krótko mówiąc, opłakanym. Płakała także pani Lonia, za co bliźniaki pójdą kiedyś do piekła.

– Dlaczego to zrobiły? – Ania cierpliwie pomagała mi usuwać spustoszenia. – Bo na pewno nie złośliwie! – dokończyła z mocą.

– Mam powody, by sądzić, że chciały dobrze – odpowiedziałam. – Ale sprawa jest trudna do wyjaśnienia, bo rodzice wolą przemilczeć powód tej afery.

– Najlepiej powiedzieć prawdę – mruknęła Ania.

– Prawdę? – Z trudem wyprostowałam plecy. – Prawda jest taka: wczoraj usłyszały, jak pani Bronia mówi mamie i tacie, że nasi sąsiedzi są uczciwi i mili, ale im się nie przelewa. Bliźnięta postanowiły pomóc. No i przelały!

Ania najpierw parsknęła krótko, ale już po chwili śmiała się w głos. Ledwo usłyszałyśmy, jak nas pani Lonia woła na knedle owocowe. Były tak pyszne, że zamówiłyśmy je na festyn. Zaproponowana przez nas cena bardzo ją uszczęśliwiła i chyba uśmierzyła ból po ogrodowej stracie. A kiedy tata przytargał kosz z nowymi sadzonkami rododendronów i cebulkami jakichś szczególnie pięknych lilii, sąsiadka aż zaniemówiła. Bliźnięta też zaniemówiły, kiedy skazano je na kolejny domowy areszt. Jednak tego, że pani Lonia dotarła z knedlami do osadzonych, nigdy nie zrozumiem. Coraz częściej myślę, że w Wiśniowej Górze zdarzają się cuda. Nie zdziwi mnie nawet, kiedy tata wyhoduje tu fasolę o smaku dojrzałych czereśni.

Wieczorem poznałam u Ani Olę Krótką, która okazała się o głowę wyższa ode mnie. Powinna mieć na imię Niemaproblemu. Z wykrzyknikiem! Okradli ją podczas zakupów, ale uznała, że nie ma problemu, bo plecak był stary, a w portmonetce miała tylko dwadzieścia złotych.

– Mogłam przecież mieć więcej! – Machnęła ręką. – A ten chłopak, co się przy plecaku kręcił, to biedniejszy ode mnie… – Już zaczynała współczuć złodziejowi. – Jeśli kupi sobie obiad, nie ma problemu! Bo mnie zaprosiła ciotka! Na sushi. Coś okropnego! Ale nie ma problemu! Zawsze kiedyś wraca się do domu!

Jej optymizm naprawdę był zaraźliwy.

– No i jeszcze to! – Pokazała okazały siniak na czole. – Tak się zderzyłam z szybą, że zobaczyłam wszystkie gwiazdy. Nawet te z Pudelka! – zachichotała. – Nie pójdę już do żadnej galerii. To jakieś szklane pułapki. Ale nie ma problemu! W Wiśniowej też złapiesz guza. Wystarczy przejść koło starej wiśni Kmicików, co ma owoce większe od jabłek. Guz gotowy! Masz szczęście, że tu mieszkasz… – Nagle spojrzała na mnie rozanielona. – Wszędzie dobrze, ale w Górze najlepiej…

Wracałam do domu zdumiona.

Zachodziłam w głowę, jak w tym ich grajdołku, gdzie wiśnie są jak jabłka, może być lepiej niż w MOJEJ Warszawie? Dotąd byłam pewna, że nowe koleżanki choć trochę zazdroszczą mi stolicy. Zabawne. Kinga wyśmiałaby rewelacje Oli Krótkiej, a Ola machnęłaby tylko ręką, mówiąc: „W dużym mieście i wydziwianie duże, nie ma problemu!”.

Wieczorem zapisałam w dzienniku:

*Nadal nie wiem, kim jestem. Czy już rosnę jak samosiejka na tej Górze pełnej wiśni? A może przypominam raczej pestkę, której się marzy zostać warszawską palmą?*

Ale gdy dwa dni później poklepywałam na powitanie miękki bok Rozalii, poczułam, że jestem we właściwym miejscu. I byłam w nim… tak długo, póki dzielnie trzymałam się siodła. Bo wystarczyła jedna chwila nieuwagi, jeden niepozorny kot, który przeciął nam drogę, abym gruchnęła na zbitą końskimi kopytami ziemię.

Panu Tomaszowi nie było do śmiechu. Dopiero po krótkiej obdukcji odetchnął z nietajoną ulgą.

– Na szczęście nic się nie stało. Nawet księżniczkom zdarza się spaść z konia – zażartował, pomagając mi wstać.

– Skoro tak, musi tu gdzieś leżeć moja korona… – próbowałam i ja żartować, choć czułam się jak jeden wielki siniak.

Rozalia sprawiała wrażenie nieszczęśliwej. Wiem, że poczciwe z niej konisko. Gdyby mogła, przytrzymałaby mnie w siodle zębami.

Wieczorem wspomniałam o tym w dzienniku. I dodałam:

*Nawet po moim pierwszym konnym dachowaniu uważam, że pomysł rodziców z przeprowadzką nie był zupełnie tragiczny. Dobrze jest wspominać Warszawę. Ale żeby tam wrócić? No chyba że z Rozalią… – dopisałam po krótkim namyśle.*

Niedługo później poczułam się jeszcze bardziej dziewczyną z Wiśniowej Góry.

– Gdzie twój rower? – zapytał tata, mój hojny darczyńca. Od niedawna jeżdżę wypasionym modelem z teledysku Jasona. Rodzice okazali zrozumienie i dostałam tę damkę bez wielkich próśb i łańcucha upokorzeń.

– Mój rower? – zadrżałam.

Wczoraj pojechałam nim do sklepu. Ale tam spotkałam Nelkę, wnuczkę pani Broni. Potem wpadli Zuźka i Paweł, znajomi ze stadniny. Umówiliśmy się na wspólną kąpiel w Krysztale. Doszła Zosia, żeby pomóc pani Juliance zrobić remanent. Ja pomagałam Zosi, mnie Ania… Aż wreszcie wróciłam do domu… Pieszo!

Próbowałam wyjaśnić mamie i tacie, że jeszcze nie nauczyłam się pamiętać o rowerze, bo jest zbyt nowy…

– Zapewne już go w ogóle nie ma – mruknął tata z kwaśną miną.

Pędem ruszyłam pod zamknięty sklep. Nie miałam złudzeń. Spod mojego bloku w Warszawie odjechały w nieznane dwa całkiem zwyczajne rowery. Ten z teledysku nie postałby nawet dwóch minut przy bramie!

Ale pod królestwem pani Julianki… stał! Lśniący sierpniową rosą. Zachwycający.

Chciałam natychmiast na niego wskoczyć i ruszyć do domu, jednak trafiłam na opór. Przyjrzałam się dokładnie kołom, ramie… I zamarłam. Ktoś uczynił z mojego metalowego wierzchowca dożywotniego więźnia! Tak go zabezpieczono, że nawet najbardziej przebiegły złodziej nie miał tu nic do roboty. Zapięcie szeklowe, kabel z osłoną, łańcuch na przednim kole, blokada na tylnym… Czego tam nie było!

– Ładnie to tak? Zostawiać rower na całą noc? – usłyszałam karcący głos sklepowej i brzęk kluczy.

Pani Julianka sprawnie uwalniała nieszczęśnika.

– Telefony mnie po nocy budziły, że panienka od doktorów o rowerku zapomniała – sarkała niestrudzenie. – Specjalnie go nie chowałam, bo wiedziałam, że ktoś tu rano przyleci, zapominalski…

– Nie ukradli… – zdołałam wykrztusić, szczęśliwa.

– Że co? – Pani Julianka się skrzywiła. – Przecież to nasz, znaczy się, panny rower. A panna nasza, wiśniogórska! Jakże ukraść swojemu? Obcym to jeszcze się może zdarzyć tu i tam. Ale własnemu?

Pokornie wytrzymałam jej spojrzenie. W tym czasie moje serce rosło do rozmiarów sadu wiśniowego.

– Inni bardziej się zgubą przejęli od właścicielki – mamrotała bez złości.

A ja zrozumiałam, że popełniłam kolejną gafę.

– …bo w Warszawie zginęły mi dwa… – zaczęłam płaczliwie, na co Julianka machnęła ręką.

– No, nie rozpaczaj już! Wejdź do środka, drożdżówek ci dam. Jak na pestkę trafisz, nie dziwota, bo ciasto z wiśniami… Tylko tym bąbelkom ślicznym zawieź po kawałku, słodycz sama te wasze bliźniaki…

1. Dlaczego Pola zaczyna uważać, że pomysł rodziców z przeprowadzką na wieś nie był taki zły? Znajdź kilka argumentów.
2. W tekście pojawia się kilka przysłów. Znajdziesz je? Co oznaczają?